

Gosia Żygadło

## Cztery pory zimy

### 1. Przebiśniegi

Wybieraj. Albo ty masz w sobie taki dźwięk, urok i styl ballady, sposób, w jaki mówisz, kierunki, w jakich robisz dygresje, słowa, których używasz, że sprawiają, że gdybym to miała wyrazić obrazem, to gorącego lata, jego późnego popołudnia, może dogorywającego dnia, gdy zagęszczające się powietrze przesycone jest zapachami, które się przyklejają do skóry: z zapachem słońca, kurzu we włosach; gdy zmęczone muchy, budzące się komary, świerszcze (kocham świerszcze), osy potopione w oranżadzie, zapowiadająca się burza, która wysyła nagły zryw wiatru, ale jest zbyt zmęczona gorącym tego dnia i rezygnuje z grzmienia, albo ja i przebiśniegi: laskocząca w nosie gotowość do przeżycia dnia sprawdzana w lustrze (czy po śniegu został ślad (za oknem jeszcze się gdzieś trzyma)); wiosna czeka, lecz nie wyjdę dziś z domu ani na człowieka.

### 2. Zimno upalnych lat

Snuję się po pustyni półmilionowego miasta, w którym szybciej się stoi, niż jedzie, szybciej się mówi, niż rozumie, i szybciej się umiera za życia, niż dożywa śmierci. Ja się pewnie na swoją spóźnię. Wszyscy będą mieli mi za złe, że niepotrzebnie się tak wcześniej rozplakali, ale to na szczęście będzie ostatni raz, kiedy obarczą mnie winą za swoje niewygodne emocje.

Kiedyś chciałam być nitką babiego lata unoszącą się wolno na coraz bardziej sennych promieniach zachodzącego słońca. Odczuwam zawsze dziwny żal, kiedy na te nitki patrzę, bo wyglądają, jakby ostatkiem sił chciały uszyć kawałek dnia. Póki są widoczne, walczą z niewidzialnością, której ulegną, gdy noc wciągnie słońce rozsypane w kresce horyzontu przez panoszący się i tak już zbyt długo dzień.

Zachody słońca latem są smutniejsze niż zimą. Z każdego letniego dnia odgryzamy kawałek na podwieczorek, popijamy kompotem i na koniec sierpnia jesteśmy zawsze tak samo zdziwieni, jak dużo lata już jest odgryzione, ale jak zwykle będziemy obwiniać ślimaki i lenistwo

strachów na wróble. Żalować, że nie zdążyliśmy wskoczyć z pomostu do jeziora i spróbować wszystkich smaków lodów, a mieliśmy to w planach snuty przez całą zimę. Z planów wyjdą nici, a nam zostanie cały kłębek tęsknoty za kimś, kogo mijaliśmy każdego dnia, ale zniknął akurat wtedy, kiedy pojawiła się w nas odwaga, żeby się przywitać. Jak to się mogło stać? Jak co roku będziemy zaskoczeni zapachem jesieni w dymie palonych na polach liści.

Zaskoczenie mimo wszystko jest łatwiejsze niż czekanie na koniec. Nigdy mi nie mów, że zamierzasz się skończyć. Nigdy mnie przed tym nie ostrzegaj, bo nigdy nie będę gotowa. Gotuj mi tylko krew, wymawiając moje imię. Będę wrzeć, na pewno też wrzeszczeć, kiedy znikniesz bez słowa, ale nie zostawiaj mi oczekiwań na tę śmierć. Zabij mnie na raz – znenawidzę cię, ale nie przestanę kochać.

Będzie padać. Mówi mi o tym lewe biodro i kolana. Łokieć też się odezwał ze dwa razy promieniującym aż do nadgarstka bólem. Jestem naelektryzowana jak burzowa chmura. Uziemiam wszystkie iskry z palców, gdy nie ma cię pod nimi, gdy jesteś za daleko, żeby wpłynąć do moich żył.

Samotność latem boli najbardziej. Jest jak jedno ziarenko piasku w bucie. Najbardziej boli wtedy, gdy bosymi stopami pamięta się miękkość miliona takich ziarenek, które przez to, że są razem, stają się miękkim piaskiem.

Samotność jest też ostrą drzazgą w palcu przeciwstawną stosowi drewna uzbieranego do zimowego kominka, przy którym wieczory płyną szybciej. Na rozmowie. Z kimś.

Samotność to okrutna cisza za dnia, kiedy czeka się na odpowiedź ścian, i hałas natrętnych myśli w nocy, kiedy czeka się na sen, który przychodzi dopiero nad ranem, a spod parapetu już wystawia nos budzący się dzień.

Zawsze wiem, kiedy jest czwarta. Ptaki rozdzielają powietrze falą dźwięku, a ta z impetem zalewa uszy. O czwartej dzień dźwięczy najgłośniejsze. Jest jeszcze za wcześnie, by wstać, i już za późno na sen – to chwila umierania i ożywiania jednocześnie.

Telefon mruga wiadomością od ciebie:

– Cześć! Śniłaś mi się.

– Po co?

– Żebyś mi dodała smaku do kawy.

– Zawsze rozlewasz.

– Tylko trochę! Ale oblizuję łyżkę!

– Lepiej byś mnie... Aaa, dobra, nieważne.

– Najważniejsze właśnie! Gadaj! Mów! Albo nie. Nic nie mów. Wezmę łyk i sam się dowiem. Mmm... Pachniesz cudownie! Już mi pulsujesz w kostce. Zaraz mi się rozlejesz na serce. Obym tylko nie zaczął nagle biec. Pomyśl, że mi odbiło! Że żelazko niewyłłączone! Na Boga! Czy ja wyłączyłem żelazko?! Mogłem nie wyłączyć, chociaż nie prasowałem!

– Nie pomyśl, wiedzą to od dawna.

– Że nie prasuję? Prawda! Ale tym razem ich zaskoczę i wrócę niewymięty, z bulkami i wyprasowanym jarmużem! Na pewno nie wrócę z pustymi rękoma! Już lepiej wrócić bez rąk! A jeśli cię spotkam, to wrócę z tobą na rękach! Przeniosę cię przez próg, przez cały dzień, przez rzekę, przez przypadek mi wpadniesz i że tak właśnie było, wszystkim powiem!

– Ha, ha, ha – zanoszę się śmiechem.

– Nie śmiej się, bo mi wypadniesz i cię nie zanoszę tam, gdzie chcę.

– Nie wypadnę. Nie wypadnę też, bo tamtędy ani dzisiaj, ani też nigdy nie przechodzę.

– Szkoda... Mmm, smakujesz tak dobrze, że żal uronić nawet kroplę.

– Cieszę się, że cię smacznie obudziłam. Później będę o tym myśleć i znowu długo nie zasnę.

– Zaśniesz. Teraz muszę już lecieć! Milego dnia! Twój smak w mojej kawie zaraz wypiję do dna.

Czekam na pociąg. Jest opóźniony. Przez drugi peron przejechał towarowy. Rzucam na tory moje myśli o nim. Kocha... Lubi... Szanuje... Nie chce... Nie dba... Żartuje...

Wróżę z wagonów. Z fusów nie umiem. Zwłaszcza tej kawy, którą on pije. Dba o swoje bezpieczeństwo na rowerze, więc zakłada kask i myśli, że może jechać spokojnie. Nie zakłada jednak, że wypadki chodzą po ludziach i może wpaść pod pociąg do mnie.

Kocha... Lubi... Szanuje... Nie chce... Nie dba... Żartuje...

Pod pociąg.

Do mnie.

Wsiadam. Kupuję bilet tam z bezpowrotem.

### 3. Powrót

Czasem mam wrażenie, że jest moim powrotem do przeszłości. Widzę w nim siebie sprzed kilku śmierci i wybeszeń flaków. Jeszcze na powierzchni, niezakopaną pod rozczarowaniem i marzącą o tym, by być czymś szaleństwem i uwielbieniem. Pełną nadziei w najbardziej beznadziejnym i niewłaściwym momencie, ale niemożliwą w żadnym innym.

Z wypełnionym wiarą sercem, że „jakoś to będzie”. Skłonną iść na kolanach, do kogoś, kogo kocham. Z zaplanowanym w każdym szczególe morderstwem wszystkich tych, którzy stanęliby mi na drodze, do piątego pokolenia w przód i w tył włącznie. Modlącą się na tych kolanach o ich śmierć. Noszącą go na łańcuszku z komunii świętej. Ukrywającą go na spowiedzi, bo nie wiadomo, czy większym grzechem go wyznać, czy popełnić?

Przypomina mi zapach rumianku i jabłek. Jest dźwiękiem komara i swędzeniem po nim. Morzem lez i tęsknot. Niewinnych pieszczot z błaganiem o jeszcze. Smakiem dawnych uniesień, które już leżą zakopane, dużo głębiej niż *six feet under* z napisem na nagrobku: *Over. The End.*

Miały jeszcze szansę na powrót do życia, z moim ostatnim zakochaniem się. Ale on ożenił się z inną. Wybrał wygodniej. Po co mieć gorzej, jak można mieć lepiej? Po co mieć trudniej, jak można mieć łatwiej? Pojawił się niczym zryw ostatniej szansy. Teraz albo nigdy. Jak powstanie listopadowe i zabory pruskie. Nagłe totalne zaćmienie i ślepotą wraz z przejrzaniem na oczy.

To było ostatnie wołanie o oddech. Ostatnia krew w żyłach i dreszcz. Ostatnie słońce przed wpadnięciem w nic, bez powrotu do czegoś, co mogło mieć jakiś sens. Myślałam, że wspólne łóżko, stół i rzodkiewki w ogrodzie są wciąż możliwe i na wyciągnięcie ręki – jeszcze ostre i smakujące, jak prawdziwe.

Teraz już mi się nawet nie chce tego wszystkiego wykopywać. Znow beczceścić ten grób po sobie. Choćby koparką nawet. A kiedyś bym pazurami przeryła całą glebę, zdarła dłonie aż do łokci, aż do pach, jak Wenus z Milo, żeby jej było miło, że nie jest jedyną taką kaleką. Że ktoś inny też tak ma. Wykopywałabym tego potwora kochania aż z samego dna Ziemi. Do samego jądra bym doszła, tylko po to, żeby mnie pożarł.

A on by mi zaśpiewał z gromkim śmiechem:

*Och, ty szaleńcza, z nadmiaru miłości, radosnym zaufaniem pijana! Lecz taką byłaś mi zawsze: zbliżałaś się zawsze ufnie ku wszelkim okropnościom.*

*Każdego potwora nawet rada byś głaskać. Jedno tchnienie ciepłego oddechu, nieco miękkich kudłów na łapie – a wnet gotowa bywałaś ukochać to i ku sobie wabić.*

*Miłość jest niebezpieczeństwem samotnika, miłość ku wszystkiemu, co tylko żyje!<sup>1</sup>*

To już nie jestem ja. Nadeszła nowa era. Smutna minimalizacja westchnień. Romantyczna dystopia. Miłosny katastrofizm. Emocjonalna lobotomia i kastracja szczęśliwego zakończenia. Duchowe skondensowanie, żeby się zmieścić na jednym metrze z całym pokoleniem samotników na życzenie.

Teraz zdrowie i spokój są najważniejsze. Równomierne bicie serca. Regularny puls i ciśnienie w normie. Stan, w którym wystarczy mieć wyjebane – bo po co mieć więcej? Po co znowu umierać nadaremnie?

*Spłynął już czas, kiedy przypadki napotykać mnie mogły; cóż by dziś jeszcze przytrafić mi się mogło, co by nie było już moim!<sup>2</sup>*

## 4. Zieleń naci

Myślisz, że pojedyncza scena obecnej chwili daje ci obraz wszechświata? Co możesz powiedzieć o ślanianiu się

<sup>1</sup> Friedrich Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, tłum. Wacław Berent, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tako-rzecz-zaratustra/> (dostęp: 29.11.2023).

<sup>2</sup> Tamże.

na nogach z nieszczęścia? Ile razy ktoś cię nie zauważał, mimo że byłeś widoczny w odległości mniejszej, niż sięgała twoja intymność? Ile razy ktoś kochał cię chyba trochę jednak nie do końca? Ile razy z ciebie zrezygnował, wykręcając się swoją słabizną? Ile razy wypruleś sobie całe bebechy nadaremnie? Ile razy byłeś za późno, a ile razy za wcześniej? Niedopasowany, za mało wygodny, pozostawiony zdziwieniu i samemu sobie? W niedotyczącej cię rzeczywistości? W nie-interesuj-się transparentności zdarzeń? Ile razy się nie doczekałeś? Niech zgadnę: nigdy. Ciesz się. Nie musisz się smucić, a ja nie będę udawać, że obchodzi mnie zieleń naci.

Możesz mnie podziwiać! Podziwicz z certyfikatem – rasy pizdowatej, nierokującej, unikającej i słabej. Zmęczony, lecz ostatkiem sił konający z zachwytu. Z plaketką top fana.

Jestem siłą, determinacją, mam talenty i pomysły, przebojowość i charyzmę, których ty nie posiadasz. Żywi szepczą mi do ucha strach. Nie słucham, nie chwytam w garść wróbla, idę na dach po gołębia.

– Zrób więc ze mnie niemarnego, który porusza ważne z twojej perspektywy rzeczy.

– Nie ruszaj ich! Są życzeniami, które już nie mogą się spełnić.

Prosto, w punkt, faktycznie, mocno, rzeczywiście, oczywiście: kiedy czytasz, krzywa iluzja okazuje się prostą prawdą.

## GOSIA ŻYGADŁO

– (ur. listopad 1980) zamieszkała w Środzie Śląskiej (pon.–pt.) i we Wrocławiu (sob.–nie.). Inżynier maszyn – wedle dyplomu. Budowlaniec samozwaniec – wedle hobby. Psychopatopoetka codzienna – wedle potrzeby. Uprawia romanizm katastroficzny z wiecznie źle ulokowanym optymizmem. Podróżnik, powsinoga. Interesuje się ludźmi i komunikacją społeczną. Lubi muzykę – od klasycznej po techno – i budowanie z lego.



fol. prywatne archiwum autorki